Tom II. Nr. 5.

11. Lutego 1860.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

PUSTELNIK I ANIOŁ.

Jeden świątobliwy pustelnik zapragnął raz wiedzieć, jakie też skryte grzechy ludzie na świecie mają? — Często odwiedzał go Anioł; pustelnik oznajmił mu raz swoje życzenie. — Anioł rzekł:

— Chodź ze mną pomiędzy ludzi, jużeś ich dawno nie widział.

Gdy się do pewnego miasta zbliżali, napotkali dwóch młodzieńców cudnej urody. Anioł mijając ich, zatkał sobie nos i twarz swoją od nich odwrócił.

Niedługo potem napotkali ścierwo końskie, które z daleka cuchło. Pustelnik sobie nos zatkał, Anioł zaś tego nie uczynił.

Minęli miasto i przyszli do wsi, gdzie sobie u jednego kmiecia nocleg zrobili. Gospodarz ten miał jedyne dziecko, z którem się on i jego żona wielce pieścili. W nocy, skoro ojciec i matka posnęli a jedynaka między siebie ułożyli, Anioł nic nie mówiący zbliża się do nich i spiące dziecko ręką dotknął. Zadziwiło to pustelnika, co miał Anioł do tego dziecka że go ręką dotykał, i zapytał go o to. A on mu na to:

— Uczyniłem tak, żeby już więcej nie wstało...

— Dla pana Boga! zakrzyknął pustelnik — czy to być może, zabiłeś jedyne dziecko rodzicom?...

— Zabiłem! krótko powiedział Anioł i w dalszą drogę powiódł pustelnika za sobą.

Na drugą noc zostali u jednego karczmarza, który sobie sprawił kielich złoty bardzo pięknej roboty. Anioł co miał na wszystko baczne oko, wnet zauważał, że się karczmarz w tym swoim złotym kielichu niezmiernie rozkochał, zawsze go miał przy sobie i rad na niego pozierał, a o kościół i pacierz wcale nie dbał. Około północka, gdy karczmarz spał jak zabity, Anioł zabrał mu złoty kielich. Pustelnik aż się za głowę złapał, tak go to zadziwiło — chciał coś mówić, ale Anioł nakazał milczenie i coprędzej wyprowadził go z gospody, aby szli dalej.

Trzeciej nocy zostali w karczmie pod lasem, gdzie zwyczajnie wieprzarze radzi nocowali. Gościnnie ich tam przyjęto; gospodarz człek uczciwy i bardzo miły, robił im wszelkie wygody, nakarmił, napoił i własnego im łóżka odstąpił — Anioł zaś w nocy zawołał pustelnika, i poszedł z nim do stajni na spanie. Rychło świt wstali i kazał Anioł pustelnikowi zapytać gospodarza, co winni od noclegu? — Gospodarz nic nie żądał, owszem dziwował się jeszcze, dla czego do stajni poszli spać. Ale Anioł uparł się na swojem, że nocleg zapłacony być musi — i dał mu ów złoty kielich.

Tego już było za nadto pustelnikowi. Skoro też wyszli na drogę, zatrzymał się przed Aniołem i rzekł:

— Wiesz co, ja ciebie za Anioła nie uważam.

— A to czemu? zapyta tamten.

Pustelnik mówi: — Zatkałeś nos przed pięknymi młodzieńcami, a nie zatkałeś go przed cuchnącem ścierwem.

— Młodzieńcze, odpowie Anioł — których ty pięknymi widziałeś, mieli zabrudzoną duszę od grzechu, i przeto stali się obrzydliwymi przed Bogiem; to też woń, która mię od nich dolatywała, bardziej była mi nieprzyjemną aniżeli to ścierwo, przed którem ty nos zatkałeś.

Pustelnik prawi dalej co miał na sercu: — Zabiłeś dziecko niewinne, jedyną pociechą rodziców, a pan Bóg wie za co?

Na to mu znowu Anioł: — Zabiłem choć było niewinne, ale z czasem, mój człecze, nie byłoby ono takie! Rodzice psuli go pieszczotami i dawali mu złe wychowanie. Gdybyć tak było wyrosło, stało by się potem zbójcą i złodziejem. Zabijając uratowałem go od szubienicy, a rodziców od hańby i wiecznego potępienia, iże tak niedobrze dziecko swoje prowadzili.

— A ten kielich złoty, coś go zabrał jednemu karczmarzowi a podarował drugiemu? zapytał jeszcze pielgrzym, ale już znać było po nim, że się powoli nawracał do Anioła.

— Co do tego kielicha, prawi Anioł, to znowu tak się ma rzecz cała. Ten pierwszy karczmarz, co sobie taki piękny kielich kazał urobić ze złota, chciwiec był i bardziej pamiętał na złoto aniżeli na Boga. Dla tego chciałem mu dać nauczkę i za jego chciwość ukarać. Tamten zaś drugi, mieszkający pod lasem, widziałeś sam jak nas szczerze przyjmował i choć to nie był taki człek zamożny jak pierwszy, mimo to nie chciał ani grosza wziąść za nocleg, co pokazywało że nie był żaden łakomiec. Dla tego dałem mu ten kielich złoty, bo wiedziałem dobrze, że go to złoto nie popsuje i nie odwróci serca jego od Boga. — A teraz wypowiedziawszy swoje, pytam się ciebie, pustelniku: co ty na to?...

Pustelnik zaczerwienił się po uszy ze wstydu, iże tak niesłusznie posądził Anioła i prosił go o przebaczenie.

— Odtąd, mój Aniele — powiada, złożywszy przed nim ręce — nigdy a nigdy dziwować się nie będę nieszczęściu ludzkiemu, choćby i coś takiego się stało, czegobym nie rozumiał: za co tak a nie inaczej się stało. Z twojej łaski poznałem ja niektóre grzechy tajne u ludzi, których nikt prócz jednego Boga nie zmiarkuje. To też często gęsto powiadają, że ten lub ów niewinnie cierpi u Boga — a to tymczasem nieprawda, jeno musi tam być jakiś grzech tajny, go co świat nie dopatrzył i dla tego prawi że niewinny. I także nie powiem już nigdy, żeby to było prawdziwe nieszczęście, jeżeli się komuś coś złego wydarzy; bo oto nauczyłeś mię, mój Aniele, jako niejedno złe właśnie na dobre ludziom wychodzi.

Anioł wysłuchał go uważnie i rzekł:

— Tak to mi się podoba, pustelniku! dobrze mówisz!

Wracajże teraz na puszczę do swojego mieszkania; a jeślić się kiedy zdarzy że ktoś tam po radę zawita do ciebie, to go, mój pustelniku, naucz przedewszystkiem święcić wolę pana Boga, co jest naszym najlepszym ojcem.

To powiedziawszy, Anioł zniknął — a pustelnik wrócił do domu i jeszcze potem w długie lata nauczał ludzi, co się do niego zewsząd garnęli po radę, aby pana Boga, który jest naszym nalepszym ojcem, szczerze kochali, a wolę Jego świętą szanowali.

KOLENDA MAZOWIECKA

przypisana Paulinie z L. W... na pamiątkę starych czasów.

Urodził się Pan Jezus, dzieciąteczko, dla zbawienia tego świata nędznego i wszelkiego rodzaju ludzkiego — Matka Boża nad nim siedzi, raduje się, weseli...

A Józef i Anieli
Jako potrzeba służą,
Ani oka nie zmrużą,
Chwała, śpiewają, chwała!
Dziecineńko mała.
A dzieciąteczko leży
Prawie jak bez odzieży,
Na garsteczce siana,
Posłanie dla Pana
Niebiosów.

Aż ci człeku żałko,
Że na święte ciałko
Nie ma przykrywadka —
Przenajświętsza Matka
Ubożuchna Panienka!
Za całe ogrzanie
Oślęce chuchanie
I wole i wole.

Alić to marne słowa!
Bo gdy zechce się schowa
Pod ten obłok biały,
Co idzie z za skały,
A pod nim rój cały
    Przeczystych,
    Złocistych
        Aniołów.

Nie bój się, o nie, człecze!
Mają tam nad nim pieczę
Jeszcze lepsi od ciebie,
Co służą Panu w niebie.
    Dziecinka się śmieje,
    Aż w szopie widnieje
Jakoby też zorza,
A to miłość Boża
    Rozchodzi się, rozchodzi...

— A czegóż ci trzeba Staszku
                    robaczku?
A czegóż ci trzeba Janku
                    kochanku? —

— Oj trzeba mi, Panie, sam nie wiem czego, jedynej pociechy miłosierdzia Twego; trzeba mi iść do dom a nie mogę, bo mi straszny niedźwiedź zaszedł drogę...

— Idźże tam Aniele, a no duchem,
A porządek uczyń przed pastuchem,
A powiedz niedźwiedziowi:
Niech się tam nie sadowi,
Niech się tam nie nosi
Gdzie go nikt nie prosi,
Niech się tam nie żywi
Gdzie mu wszyscy krzywi.....
. . . .

T. Lenartowicz.

O wiejskich szkodnikach.

Pogadanka starego rolnika.

We wsi Marusicach żył sobie gospodarz zamożny, co się nazywał Janko Goździak. Był to już człek nie dzisiejszy, tak może po pięciu krzyżykach, ale jeszcze nie jednemu choć i młodszemu od siebie podołałby, przy takiej był sile. Ktoby go nie znał, myślałby z razu że to człowiek jakiś surowy i nieużyty; bo raz że się po prostu trzymał niby chojak w lesie, a potem że mu z oczu patrzyła jakby hardość, jakby dumność jaka. Ale gdyś się z nim wdał w bliższą znajomość, zaraześ zmiarkował że to człeczyna potulna i strasznie miękkiego a poczciwego serca — ma się rozumieć dla dobrych. To też wszyscy w gromadzie kochali go gdyby własnego ojca i radzi schadzali się do niego przy wolnym czasie na pogadankę. Trzeba zaś wiedzieć, że Janko Goździak to i głowa nielada: siła rzeczy na świecie sam przechodził, więcej jeszcze słyszał od mądrych ludzi, a po trosze i z książek wyczytał, bo był na nich za młodu uczony. Słowo też jego w gromadzie wiele znaczyło, a w każdej potrzebie Marusiczanie szli prosto jak w dym do Janka po radę.

Chałupa gdzie mieszkał, stała na małym pagórku i jak usiadłeś na przyśbie pod ścianą a rzuciłeś oczami po świecie, to szedłeś z niemi precz daleko, niby ptak na skrzydłach, co mu wszędzie równa droga i nic mu w locie nie przeszkadza. Tam zawsze w lecie wieczorami rad przesiadywał Janko, odmawiając pacierze. Bo powiadał, że jak wpatruje się w zielone łąki i w pola bujające jak fala na rzece podrastającem zbożem, jak nadsłuchuje ślicznego śpiewania skowronka i całej gromady ptasząt, i jak spojrzy w niebo złocące się promieniami zachodzącego słonka, po którem posuwają się białe chmurki jakby główki ze skrzydłami małych aniołków, to wtenczas w duszy swej tak się raduje, tak rozrzewnia, tak w tem wszystkiem widzi moc, wielkość, potęgę i miłość Boga, że zwykle modlitwę zaczyna serdecznem westchnieniem, a kończy łzami dziękczynienia

za te wszystkie cuda, jakiemi Stwórca otoczył człowieka, najczęściej grzesznego i nieoceniającego łask tych należycie.

Jednej niedzieli jak zwykle gromadka ludzi zeszła się do niego. Janek z odkrytą głową patrzył przed siebie, ludziska stali w milczeniu. Aż wreszcie odezwie się jeden z gospodarzy, nazwiskiem Bąbała, z którego zawsze dosyć było uciechy, że sobie był człek tak trochę śmieszny i w rozumie nie tęgi. Wydobywając tabakierkę, rzekł:

— Mój Janie, siedzicie ta i patrzycie nie wiedzieć czego; ot lepiej, żebyście nam powiedzieli co ciekawego, choćby i z łajaniem jakiem, bo i tego u was nie kupić.

— Mój sąsiedzie, odrzekł Janek, ciekawości nie trzeba szukać, ani w ludziach, ani w ich gadce, ino wedle siebie po świecie. Bo tylko spojrzyjcie na pola nasze, co się po nich zieleni ozimina i jarzyna, na tę oto rolę, co się z niej dobywają ziemniaki — czy to nie jest nawiększa ciekawość, kiedy z tego ziarna, które człek rzucił w ziemię zababrał bronami, pomaluśku wszystko podrasta, idzie w kłos, w ziarno, potem człek to zbiera, młóci i robi chlebuś kochany, o który codzień Boga w pacierzu prosimy? Czy to więc nie jest największa ciekawość? Ale ludzie mało to sobie ważą, bo codzień prawie na to patrzą, i gdyby Bóg, chcąc ukarać ludzi za ich grzechy, nie dał świętej ziemi przez cały rok wydać z siebie ani trawki, ani listka i ziemię zostawił czarną, jak to bywa po zimie, kiedy słonko spędzi śniegi, to wtedy dopierobyśmy poznali, jak cudowny jest świat cały, a jak maluśkim człowiek, co w dumności swojej ma siebie za coś wielkiego. A jednak ludzie darów tych Bożych nie szanują i choć na wszystko pracują w ciężkim pocie czoła, trwonią, marnują, jeden drugiemu niszczy...

W tem miejscu nagle urwał Janko i za czemś bardzo pilnie pozierał na drogę, co szła z podwórza dworskiego. Za nim też i drudzy obrócili się, aby spojrzeć. I było też na co! granicą bowiem biegł polowy dworski ku łąkom leżącym w rozdole, i machając laską, coś ostro wykrzykiwał. Od dworu zaś ekonom pędził na koniu w największym galopie, kierując się za biegnącym polowym. Niedługo z przeciwnej strony, jak lis kiedy ucieka przed gończemi, wysunął się jakiś włościanin na szkapie i okładając boki

batem biednemu bydlęciu, a kując go podkówkami od butów po brzuchu, cwałował tak szybko i tak przyspieszał, że tylko ziemia dudniła, kopyta piasek rozpryskiwały na wszystkie strony, a skrzydła u kapelusza trzęsły się jak skrzydła u ptaka, kiedy mu pilno lecieć gdzieś za jaką sprawą. Wyraźnie więc włościanin uciekał, i widać uciekał ze szkody, kiedy go gonił przystawca i oficjalista dworski. I byłby zapewne uciekł; ale skręcając z drogi na odłóg, gdy mu wypadło przez rów przeskoczyć, szkapsko nie dosadziło, przedniemi nogami ugrzęzło w błocie, włościanin się pochylił, a potem buchnął jak długi. W takim pędzie zlecić z konia, to jak nic kark można skręcić, a przynajmniej poturbować się na kilkutygodniowe leżenie. To też widać, że włościanin dogodził sobie w spadnięciu porządnie, bo jakiś czas poleżał w zupełnej spokojności i dopiero po chwili powstał, podniósł kapelusz, otrząsł się z ziemi i podszedł ku rowowi do wydobywającego się z błota konia. Ale jednem złem nigdy się nie kończy; koń bowiem wyrwał się z błota, i kiedy włościanin poszedł ku niemu, chcąc go uchwycić za cugle, ten odwrócił się, wierzgnął tylnemi nogami i tylko zadudniło, co tak ostro poleciał na łąki. Na piechotę już nie było co uciekać, ekonom bowiem znajdował się nie więcej jak o staje drogi; włościanin więc zdjął kapelusz, uchylił głowy i z pokorną miną przystanął w miejscu.

— Wiecie co, że to Modras? odezwał się ktoś z gromady, zebranej u Goździaka; widzicie, jak się skrobie w głowę i ciągle kłania się, co tak wyprasza się od kary.

— Ba! nie ma się wypraszać, odrzekł na to Bąbała — ekonom w ręce taki cięty, że jak tnie, to jakby nożem.

— Widać, żeście już próbien tego, odezwał się tamten z uśmiechem — kiedy rękę ekonoma tak znacie doskonale.

— Ej! raz ino, raz, kiedy moja Jagna — odrzekł na to Bąbała, kuląc ramiona — nacięła sierpem koniczyny nasiennej dworskiej dla krowy.

— I jakże to było, na pokładańca, czy tak ino na suche razy?

— Ej! tak ta, odrzekł Bąbała, nic nie miarkując, że drugi

z niego pokpiwa — dał im ekonom dwa razy pięścią w plecy, a potem tym bacikiem liznął cosik z pięć razy.

— I ino tyla?

— Tyla, ino tyla, ale przez życie moje tego nie zabaczę.

— To wam widać uczciwie dogodził?

— Ba! mruknął tylko Bąbała, poruszył plecami i westchnął, jakby się to stało w tej chwili.

— A mój Tomaszu, za cóż was karał, kiedy to wasza Jagna, a nie wy szkodę robili?

— Ho! ho! człeku, człeku, on i Jagnie nie poborgował, a mnie za to wywałkował, co ja jej gospodarz. Bo widzicie, ja jej rzekłem, co by się postarała czego dla krów do doju, a jak powiedziala, że nie wie, gdzie ma czego szukać, tak ja jej rzekłem, żeby poszła ku koniczynie dworskiej. I widzicie, z mego rozkazania to ino raz tego było; ale dziewczysko jak się znarowiło, tak potem dzień w dzień nigdzie nie poszła, ino zawsze jak ta maciora nieprzymierzając, w koniczynę i w koniczynę. Tak jak ją złapali, tak też i jej i mnie się dostało, jakby ja temu był winien.

— Oj! prawda, prawda — niby żaląc, odezwał się na to znów tamten pierwszy gospodarz — już to wy macie zawsze szczęście do niewinnego na siebie posądku. Ot! na ten przykład dziewucha wasza nałamała płotu wedle dworskiej kapusty, a wy zapłacili karę, i o mało także nie przypieczętowaliście skórą.

— A prawda, i żeby nie panienka, takby był dziedzica nie uprosił. No, i jestże tu sprawiedliwość na świecie?

— Oj! prawda mój Janie, prawda — prawi tamten kręcąc głową — bo żeby tak na mnie, tobyście się byli ze skórą swoją nie poznali! bo wiecie wy, co się z tego zrobiło? Oto, wasza Jagna, jak jej brakło koniczyny, bo się bała ekonoma, to groch mój rwała, a jak dworskiego płotu nie stało, to się chyciła mego, bo już się jej do lasu po suche patyki pójść nie chciało.

— Albo to prawda? zapytał troszkę zawstydzony Bąbała — już mnie nikt tego nie dowiedzie.

— No, nie wypierajcie się, nie wypierajcie, bo że wy nie lubicie ludzkiej pracy szanować, to ani gadania. Ukraść, nie ukradniecie to prawda; ale urwać w polu co na paszę, albo

do garneczka, wedle domu złapać co na ogień, toście jedyny do tego.

Bąbała zaczął się tłumaczyć, wykręcać, jedni za nim świadczyli, drudzy przeciw, inni pokpiwali, aż wreszcie odezwał się:

— Moi sąsiedzi, co prawda to prawda, ze dworu to ta czasem jaką garstkę trawy, albo grochu, lub co innego to się skorzysta, ale z chłopa niech Bóg broni, bo to wielki grzech! Dwór ta i tak dworem będzie, a dobrze, że się człek troszkę pokrzepi.

— A juścić, a juścić! potwierdzono do koła — co to tam odrobina znaczy!

Janek przez cały czas tej rozmowy nic nie mówił, tylko słuchał; ale widać, że mu się wszystko strasznie nie podobało, bo marszczył brwi, a czoło często zmarszczakami się pokrywało. Chłopiska już znali z tego Janka, dla tego pomału zamilkli, oczy skierowali ku niemu, a Janek jakby się pasował sam z sobą, ścisnął pięść i po chwilce obcierając czoło, odezwał się z bolesnem westchnieniem:

— Moi sąsiedzi, to wy chrześcianie katolicy? Nie! wy jak jakie pogany, bo gdybyście się bali Boga Wszechmogącego, tobyście zawsze mieli na baczeniu dziesięcioro Bożych przykazań, gdzie powiedziano: *Nie kradnij, i nie pożądaj bliźniego twego ani wołu, ani osła, ani służebnicy, ani żadnej rzeczy, która jest jego;* a więc ani owsa, ani koniczyny, ani płotu, ani trawy na łące. A jednak czy zachowujecie to? czyż minie choć jeden dzień, żebyście dworowi jakiej szkody w polu nie zrobili, albo żebyście się między sobą o jaką psotę nie poswarzyli? A czyż to nie jest pożądanie cudzej własności? Czyż kiedyś za te krzywdy, co robicie i dworowi i między sobą, Bóg was nie ukarze?...

Na te słowa Janka chłopiska powzdychali i poruszyli głowami. Bąbała aż jęknął, co mu tak ciężko było odetchnąć, a Janek po chwili mówił dalej:

— Moi sąsiedzi, powiadacie, że szkodę zrobić dworowi, to nie ma w tem grzechu, ino kiedy chłop zrobi chłopu, to wtedy jest grzech śmiertelny. Moi ludzie, gadką taką oszukacie siebie, oszukacie ludzi, ale nie oszukacie Boga. Jak więc tylko

bierzesz to, co nie twoje, na ten przykład koniczynę, trawę, gruszkę z drzewa, ziemniaki, kapustę, suchy chrust, albo kołki z płotu i inne ta rzeczy, czy to chłopu czy dworowi, to jużcić dybiesz nie na swoje, bierzesz co nie twoje, czyli kradniesz, więc popełniasz grzech śmiertelny. Ale ludzie tak się popsuli, że już to nawet za złe nie uważają; dla tego też na grzeszących co dnia, co godziny, Bóg zsyła teraz różne klęski, jakich przedtem nie znano, jak: cholerę, febrę, zarazę na bydło, susze, ciepła w zimie, a przymrozki w lecie, wojny, głody i Bóg wie jakie inne nieszczęścia. I wszystko to dopóty ludzi trapić będzie, dopóki się ludzie nie poprawią; bo i jakżeż ma być dobrze na świecie? Wszystko żyje w rozdzieleniu, każdy ino dla siebie, pacierz ludzie choć mówią, to ino gębą, a w myśli to sobie układają, gdzie co urwać albo złapać, bo powiadają że to nie złodziejstwo. A ja wam powiadam, moi sąsiedzi, że wszystko, co tylko bierzecie nie swego, jest złodziejstwem, i za wszystko odpowiadać będziecie przed Bogiem. —

Jeszcze potem wiele rozgadek było między ludźmi. Każdy czuł, że Janek we wszystkiem ma racją, bo znali go dobrze, że zawsze w każdej rzeczy trzyma się sprawiedliwości, a nie pochlebstwa i przylizywania się; ale równie ten gadał tak, ten owak, aż wreszcie pomału zaczęli się rozchodzić. Wtem do gospodarza co to sobie z Bąbały nakpiwał, a miał na imię Mateusz, nadbiegła dziewucha jego i odsłaniając fartucha, rzekła:

— Patrzcie tatusiu, jakie to na dworskim ogrodzie ziemniaki.

— A i któż ci ich nakopał?

— A ja sama, odrzekła dziewucha z przechwałką; upatrzyłam, jak ekonom i polowy przelecieli za Modrasem w pole, tak też złapałam motyki...

— A ty niepoczciwe dziecko, przerwał z gniewem ojciec — to ty mnie we dworze będziesz robiła złodziejem? To ty mnie w takim posądku przed ludźmi będziesz stawiała?

I mówiąc to poczciwy ojciec, odpiął pasa, uchwycił własne dziecko za rękę i tak zaczął kropić po plecach jedną ino koszulą osłoniętych, że dziewucha i ziemniaki rozsypała i chustkę z głowy upuściła, i tak wrzeszczała, jakby z niej pasy

darto. Po frycówce dziewucha z płaczem pobiegła do domu, a chłopi przybliżyli się do Mateusza i jeden rzekł:

— Poczciwie zrobiliście, mój Mateuszu, bo przez jedną szkodnicę wszyscy moglibyśmy być we dworze w posądku o złodziejstwo, i nawet wypada wam, cobyście tę rzecz ekonomowi oświadczyli, bo po cóż na nas mają krzywo patrzyć?

Mateusz podrapał się w głowę, bo jakoś nijako mu było iść ze skargą na własne dziecko i nie wiedział, jak sobie radzić; ale Janek podsunął się i rzekł:

— Żeście dziecko, mój Mateuszu, ukarali za szkodę, to możecie opowiedzieć we dworze, ino odnieście ziemniaki i wszystko opowiedźcie, jak było, a dwór pewnikiem Maryśki na nowo karać nie będzie. Ale pamiętajcie, moi sąsiedzi, że to nie dosyć jest swoich domowników i swoje dzieci przestrzegać; trzeba i na siebie pilnie baczyć, bo my starzy, a oni młodzi, a młodzi to najczęściej we wszystkiem lubią iść za starymi. Jak więc i my, i nasze dzieci, i słudzy zabaczą o szkodach, to we wsi taka będzie święta zgoda, dwór nas będzie tak kochał, tak szanował, że zobaczycie, jaka to wtedy będzie u nas śmiałość, pójść po każdym interesie do dworu. A komu z tem będzie dobrze? Jużcić nam, bo jaką my, chudziaki, nieuczeni i niepiśmienni bez opieki i mędrszej głowy możemy sobie dać radę?

— Oj! prawda, prawda — odezwano się dokoła; wieleby o tem mówić, ale żeby dwór przekonać, co my nie szkodniki i z przychylnością dla dworu, to przyrzeczmy sobie, że każdego szkodnika wydamy na jaw i sami mu wyłoimy takie basiory, że przez całe życie o nich nie zabaczy.

— Zgoda! zgoda! potwierdzono do koła — szkodników nie ma co żałować — ażeby ta rzecz taka nie poszła w odwłoczkę, więc idźmy do dworu, prośmy dziedzica, coby Modrasa oddał pod nasze sądzenie.

Jak rzekli, tak zrobili. Dziedzic z chęcią przystał na sąd chłopski i Modras w pół godziny już był po basarunku, że skrzywiony i skurczony powlókł się do domu, jakby po obłożnej chorobie. Ale broń Boże! nic mu nie było, skóra przecierpiała i wnet się zgoiła; lecz za to od tego czasu Modrasek taki się zrobił poczciwy, że nad niego prawie nie było we wsi lepszego.

Potem zakręcili się z basarunkiem około Bąbały, ale już wam nie powiem tego, jak to było. Bo widzicie, Bąbała już niedzisiejszy, toby mu było bardzo markotno, gdyby się kiedy dowiedział, że go pismem przed ludźmi osławiłem. A jeżeli wstyd młodemu być szkodnikiem, choć ludzie mówią, że każdy młody to głupi, cóż to dopiero mówić o starych, u których znowu wedle ludzkiej gadki, w siwych włosach rozum ma siedzieć.

J. K. Gregorowicz.

(z Cz. N.)

KOLEJ ŻELAZNA.

Rozmowa Grzeli Łopucha z Walentym ze Smolnicy.

Grzela. Już też niech sobie ludzie bają i tak i siak, i niech tam sobie mówi co kto chce, ale ja taki jakem żyw nie uwierzę nigdy, aby zły duch nie miał już mocy na ziemi. Ho ho ho, bestya dokazuje zawsze i co krok radby biednemu człekowi siłkę zarzucić na szyję. Nie dalekoć jeździłem tamtego tygodnia, a widziałem na własne oczy nie przymierzając jak was tu przed sobą...

Walenty. Cóż takiego?

Grzela. Co? Ajzyban czy tam kolej żelazną jak zowią ludzie, a napatrzywszy się na to dziwo własnemi ślipiami, wiem ci już, co mam wiedzieć. W imię ojca i syna! Dzisiaj mi jeszcze mróz przechodzi przez skórę i taki mię strach zbiera, jakby mię djabeł pazurami łaskotał pod szyję.

Walenty. Dla Boga żywego! cóżeście to takiego widzieli?

Grzela. To już wam powiem kiedy chcecie, choć mi to Bogiem a prawdą strasznie niemiło. Człek tam różnie słyszał o tym Ajzybanie, ale nie wszystkiemu wierzył. Aż tu zeszłego tygodnia nająłem się buraki odwieść do fabryki do Łańcuta — bogdaj mię było nie skorciło! byłbym się nie nabrał tak okrutnego strachu. Proszę was, panie Walenty, kiedy już dojeżdżałem sobie zwyczajną drogą do Łańcuta, mówili mi ludzie, że będę musiał jechać przez Ajzyban. Ha, myślę sobie, co robić! Zdjąłem hamulec z woza aby zahamować, jadąc przez to dziwo i popę-

działem co prędzej koni, aby się tem rychlej pozbyć tej przeprawy. Aliści naraz widzę zdała rogatkę, a koło niej wiele luda i jezdnych i pieszych. Myślę sobie: pewnie jakieś mostowe! ba ba, aż tu się dowiaduję że to już Ajzyban. Stanąłem ci i ja przy tej zamkniętej rogatce i pytam ludzi, czy długo tu mamy czekać. A oni mi mówią: Ot nie długo aż przejedzie Ajzyban. Patrzę sobie na drogę, co to ją umyślnie wybudowali dla tego Ajzybana — tfy do licha! toć to całkiem jak nasz gościniec murowany, jeno duże szyny żelaza jakby dwa pręty biegną wam hen hen, prościuteńko, jeden wedle drugiego. Patrzę ja tylko na to, taj chowając nazad hamulec, myślę sobie: Owa, jakie mi to wielkie dziwo! I nie strachając się niczego, ukrzesałem sobie powoli ognia do fajki i tylko co chciałem sobie pyknąć trochę, aż też coś jak zaświszcze, jak zadudni nagle, aż konie parsknęły i fajka mi bęc na ziemię. A tu wszyscy wołają: jedzie! jedzie! Wyszczerzyłem oczy, powiadam wam, mało we mnie paralusz nie uderzył z przestrachu. Z daleka już widać wam było kłęby dymu jakby ze stu kominów na raz, i tak coś dudniło i terkotało, że aż ziemia się trzęsła pod nogami. I nic to jeszcze! Ale wyobraźcie sobie, mój panie Walenty, co mi się działo kiedy tuż koło nas z świstem i szumem przeleciała sama Ajzyban. Na Boga żywego! takci chyba czarownice pędzą na Łysą górę. Boć to uważacie, ani nawet zając nie ciągnął wam tej budy! Naprzód jakby człowiek żywy, sam sobie pędził wam jakiś niby wóz, niby kocioł z gorzelni z szerokim kominem, z którego dym walił kłębami, a z tyłu stał wam jakiś człowiek i nie ruszał się jakby malowany. A za tym pierwszym kotłem co jakieś osobliwe miał koła i skrzydła, Chryste panie! dudni wam na niskich kołach takie mnóstwo wozów, żebyście ich na sążniowej nie nakarbowali palicy. Ba, a jakie bo to były i wozy, hej hej, mocny Boże! kareta naszego dziedzica ani się umyła przy nich. Aliści to różne były między niemi gatunki: były i takie jak pańskie karety, i takie wam jak bryki naładowane, i jakieś jak skrzynie setne a wszystkie trzymały się jedne drugich i pędziły jak opętane na niskich kołach, choć ich nikt ani pchał ani ciągnął. A czego tam nie było w tych wozach! Naprzód to jechali i pany i żydy i żołnierze i chłopi nawet, a w tyle to i konie

i woły, i krowy, i owce, i świnie, i bryczki, i wozy i Bóg wie co jeszcze więcej. I nim się jeszcze człek mógł napatrzyć na to wszystko, furknęło i przemknęło nam jak wiatr w polu, tylko dym zawiał na nas jak po siarce piekielnej i biednej chudobie aż grzywa się najeżyła z przestrachu, a nam wszystkim włosy stanęły na głowie.

Walenty. I coście sobie pomyśleli o tem wszystkiem?

Grzela. Ha cóż! Mówili ludzie tamtejsi że to już taka maszyna cudowna; ale ja i Bartek Krzywonos i Kuźma Ciołek, tośmy zaraz poszli do głowy po rozum i inaczej to sobie wytłumaczyli. Fiu fiu, maszyna! maszyna! niby to my nie znamy różnych maszyn, i w gorzelni, i w młocarni, i w sieczkarni pańskiej — ale co te, to nie tamte. Toż już chyba głupi by nie poznał że to wszystko sprawka złego ducha. W tym pierwszym kotle, czy wozie siedział sobie nikt inny, tylko sam diabeł, odpuść panie Boże, i on to ciągnął ogonem resztę wozów. A ten dym co buchał z komina, to szedł z jego fajeczki na krótkim cybuchu, co bestya szatan ma zawsze przy sobie.

Co mu na to odpowiedział Walenty, wyczytacie w następnym numerze.

RÓŻNOŚCI.

Czyn godny wspomnienia. Przed dwoma laty we wsi Petlikowcach, co leży w obwodzie Czortkowskim, pogorzał kościół katolicki wraz z plebanią i wszystkiemi zabudowaniami. Właściciel wsi obiecał na odbudowanie kościoła i resztę budynków dać drzewa ze swego lasu, ile będzie potrzeba. Zaś wójt tameczny *Hryńko Romańczuk* ofiarował na sprawienie dzwonów 620 reńskich ze swojego majątku, co go sobie przy pilnej pracy i za Boską pomocą był zebrał a znowu *Leon Tytoń*, wójt w starych Petlikowcach obowiązał się wybudować własnym groszem dzwonicę na pięć dzwonów.

Wawrzyn Knapiński z Lipowca. Już temu lat dwadzieścia i kilka, jak umarł prosty chłopek, Wawrzyn Knapiński z Lipowca, którego koło Krakowa jeszcze pamiętają a nazywali go *Pitachem* albo *Bożkiem.* Tenże Wawrzyn już z młodu pokazywał wielki dowcip do robót stolarskich, choć u żadnego majstra w nauce nie był. Biskup krakowski Sołtyk, poznawszy zmyślnego Bożka, wziął go do swojego pałacu w Krakowie i polecił mu różne stolarskie roboty, za co mu potem darował kilka morgów roli w okolicy Lipowca. Niejeden dziś jeszcze westchnie nabożnie za duszę Wawrzyńca w Krakowie, gdy przygląda się flaszeczce, w której misternie zrobiona jest cała męka Pańska, bo rzecz tę zrobiła ręka Wawrzyńca. Piękne roboty jego przechowały się do dziś dnia po różnych kościołach około Krakowa, gdzie je też można każdego czasu oglądać.

Gdzie diabeł nie może, tam babę pośle. Wiele przysłowiów, które sobie ludzie przy różnych okazjach powtarzają, mają też swoją prawdziwą historję, zkąd poszły. I tak opowiedzieliśmy wam już dwie: jedną o Zabłockim co stracił na mydle; drugą o niezdarnym Maciusiu, co go ojciec pytał, czy żyje ciele — a on mu na to: żyje tatusiu, ale się nie rusza. Dziś znowu przepowiemy wam zdarzenie, co się miało stać przed wielu, bardzo wielu laty, a z którego ludzie urobili sobie taką niepiękną przypowieść: o diable i o złej niewieście.

Gdzieś tam na Mazurach czy na Rusi, tego już niewiadomo dokładnie, żyło dwojga ludzi, mąż i żona, zgodnie i cnotliwie ze sobą. Nie podobało się to diabłu i chciał ich koniecznie poróżnić. Ale na próżno! choć tak przemyśliwał nad tem, za nic wszystko, bo oni kochali się bardzo i cale nie zważali na diabelskie pokusy. Co widząc zły duch, srodze się zafrasował. Aż tu razu jednego spotyka babę z sąsiedniej wioski, co ją znał że była bardzo niedobra. To też babsko wcale go się nie przelękło, owszem śmiało się z nim powita jakby z najlepszym znajomym: — Ale, coś mi waszeć wygląda posmutniały — co mu takiego? „Moja kobieto! odrzeknie zły duch — cóż mi pomożecie; oto już siedm lat pracuję, a nie mogę tego zgodliwego małżeństwa poróżnić.“ — Oho! a co mi dacie, to ja tego zaraz dokażę, Diabeł przyrzekł jej parę nowych trzewików. — Zgoda! przystała baba, i poszła naprzód do męża na pole, co orał: „Kumie! rzekła, przychodzę cię ostrzedz, że żona od dzisiaj dybie na twoje życie.“ Kmieć wytrzeszczył oczy i otworzył z podziwu gębę. „Jak przyjdziecie do domu, mówiła dalej, żona zechce was iskać, a będzie miała na podorędziu brzytwę, by wam gardziel poderznąć, bo rozmiłowana w waszym parobku.“ I poszła znowu do chałupy jego i rzekła żonie: „Kumo! twój mąż dziś umrze!“ — O mój Boże! wykrzykła z płaczem niewiasta — czyż taki niemocny, czy mu już nic nie pomoże? — „Nie troskajcie się o to, ja wam poradzę, a żyć długo jeszcze będzie.“ Niewiasta nadsłuchiwała ciekawie, bo baba była we wsi lekarka, ma się wiedzieć taką cyganką jak i drugie, co się podają na lekarki, choć się na tem nic a nic nie rozumieją. I kłamałoć niedobre babsko tak gładko jak po maśle: „Wasz ma włos na głowie taki, który trzeba brzytwą uciąć. Poznasz go łatwo, bo dłuższy od innych. Jak przyjdzie, powiedzcie że chcecie go iskać; wtedy mu włos wytniecie a zdrów i żyw będzie.“ Kmieć niecierpliwy przychodzi do chaty; żona mówi że go chce poiskać. Oho! pomyślał chłop, mam ciebie! ale nie uda ci się sztuka, będę ja ostrożny. Tedy nic nie mówiąc, nachyla głowę, ale tak żeby też widział co niewiasta uczyni. Ona znowu ujrzawszy włos dłuższy, bierze za brzytwę, co ją trzymału za pazuchą. Wtedy już kmieć był pewny, że go chce zabić, powala ją na ziemię i bić bez litości zaczyna. Napróżno biedna kobieta wyklina ciało i duszę! — nic nie pomogło — zbił niewinną na kwaśne jabłko i żyć z nią już dłużej nie chciał. Niedobre babsko, dowiedziawszy się o tem, co tchu biegnie i donosi diabłu o sprawności swojej; aże ten zdumiał i już się sam jej strachać począł. Dla tego nie wydał jej trzewików obiecanych z rączki do rączki, jeno na długiej żerdzi podawał, mówiąc: *Gdzie diabeł nie może, tam babę pośle.* — I od tego to czasu weszła między ludzi ta niepiękna przypowieść, która się stosuje do takich kobiet, co albo są wielkie sekutnice, albo plotkarki na wielki kamień — a od których zachowaj nas Panie!...

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**